



SUSAN
STOKES-CHAPMAN

PANDORA

Przełożyły
Iwona Michałowska-Gabrych
Patrycja Zarawska



POWIEŚĆ W TRZECH CZĘŚCIACH

PRZEŁOŻYŁY

Iwona Michałowska-Gabrych
Patrycja Zarawska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Pandora

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Joanna Pawłowska

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Matrioshka, © shamanviii, © anitapol,

© Giraphics / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Pandora

Copyright © 2022 by Retter Enterprises Ltd

All rights reserved.

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo KobiECE

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Iwona Michałowska-Gabrych

i Patrycja Zarawska, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-190-9

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



Samson, Archipelag Scilly

Grudzień 1798 roku

Nie wziął pod uwagę ciężaru. Przewidział chłód i opór wody, nie przeszkadzała mu także ciemność: to, czego nie rozjaśniła latarnia, podpowiadała pamięć. Ale ciężar... to już zupełnie inna sprawa.

Sama latarnia nie stanowiła problemu. Przywiązana do przegubu dłoni grubym szpagatem, pozwalała na swobodne poruszanie obiema rękami, ale nieprzyjemnie ciągnęła go w dół, a słona woda szczypała otartą już przez szpagat skórę. Zapętlone pod pachami liny – jedna na łup, druga po to, by wyciągnąć na górę nurka – były niewygodne, lecz pomagały utrzymać ciało w równowadze, gdy schodził na dno. Ciężarki również nie były takie straszne.

Problemem okazała się uprząż. Gruba blacha z ocynowanej stali. Wokół głowy półkolista i obszerna, poniżej ściskająca tułów niczym nieubłagany gorset. Na pokładzie nie wydawała się taka ciężka, tymczasem w dole, w połączeniu z ciśnieniem wody i zimowymi prądami, ciasny skórzany kostium i metalowa obręcz ścisnęły go niemiłosiernie. Musi zażądać więcej pieniędzy, kiedy już się stąd wydostanie.

Na razie szczęście mu sprzyjało. Atramentowa kołyska nieba usiana była gwiazdami, a księżyc lśnił okrągły i wielki. Podczas sztormu, nim statek osiadł na mieliźnie między dwiema pełnymi ruin wysepkami przedzielonymi maleńkim przesmykiem, nurek zdążył dokładnie zlustrować wzrokiem okolicę. Ruiny odbijały blask księżyca niczym białe latarnie wskazujące drogę ich małej łódce, a wzburzone grudniowe fale nie zdołały w pełni ukryć prawej burty statku.

Dlaczego więc miał poczucie, że prowadzi go jakaś siła?

Na szczęście tutejsze wody były płytkie. Nigdy wcześniej nie używał aparatu do nurkowania i nie zamierzał schodzić głębiej, niż to konieczne. Dwadzieścia stóp pod powierzchnię. „Nic mi nie grozi”, powtarzał sobie. Dokładnie wiedział, gdzie szukać: zgodnie ze ścisłymi wytycznymi artefakt przechowywano po prawej stronie dziobowej części, z dala od innych ciasno upakowanych w ładowni towarów, lecz gdy statek się rozpadł, przedmiot zaginął. O ile skrzynia nie odtoczyła się po dnie zbyt daleko i nie wyłowił jej ktoś inny, powinien bez trudu ją znaleźć.

Lodowata woda szczypała w kończyny. Nurek, owinięty ciężkim kokonem kombinezonu, zszedł niżej. Oddychał z wysiłkiem, czuł w ustach metaliczny posmak. „Te sięgające ponad wodę rurki, dzięki którym oddycham, muszą wyglądać jak sznur wisielca”, myślał. Wyciągnął przed siebie latarnię, spojrzał przez szybę w hełmie i z ulgą dostrzegł cień żeber statku. Popłynął w dół ku niemu, mrużąc oczy w mętnej wodzie. Wydało mu się, że z tyłu dobiega go niski, posępny dźwięk. Przechylił głowę, usłyszał pyknięcie w uszach, popłynął dalej.

Stopy wylądowały na grząskim dnie. Ostrożnie manewrował głową, pamiętając o przestrodze, że zbyt gwałtowny ruch może spowodować przeciek. Powoli, powolutku przeniósł

wzrok w dół. Tam! Czy to mogły być kontury skrzyni? Odepchnął się stopą i znów płynął z prądem, po czym osiadł na dnie w innym miejscu i uniósł latarnię na poziom oczu. Około sześciu stóp od wraku z trudem zauważył ciemne rogi kufra. Krew mocno pulsowała mu w uszach. Odnalazł zgubę! Powoli przesunął się do przodu, powłócząc nogami. Wzdrygnął się, gdy coś musnęło jego łydke. Opuścił latarnię i dostrzegł unoszące się wokół nóg wodorosty.

Skrzynia balansowała niebezpiecznie na głazie. Przysunął się bliżej i znów uniósł latarnię. Nawet w mrocznych głębinach morza doskonale widoczne było „X” narysowane przed odpłynięciem z Palermo na ścianie kufra. Przez chwilę nurek zachwycał się łatwością, z jaką odszukał skarb... gdy jednak latarnia zamrugła i przygasła, by po chwili rozbłysnąć na nowo, zrozumiał, że nie ma chwili do stracenia.

Odwiązał latarnię od ręki i umocował między dwoma fragmentami wraku, by nie przewrócił jej morski prąd. Potem uwolnił spod pachy jedną z lin i rozpoczął mozolne przywiązywanie skrzyni. Nie miał prawa się pomylić. Głaz, na którym osiadła, okazał się błogosławieństwem, w przeciwnym bowiem razie nurek miałby kłopot z podniesieniem jej z dna. Obok niego przepływały maleńkie rybki. Nagle przerwał pracę i nadstawił uszu: czy to śpiew? Nie. Pewnie zaczynał majaczyć. Czy nie mówili mu, że pozostawanie zbyt długo pod wodą grozi śmiercią?

Czyżby minęło aż tyle czasu?

Pracował teraz tak szybko, jak tylko potrafił w ciężkiej uprzęży. Czterokrotnie owinął kufer liną i choć palce zeszytywniały mu z zimna, zawiązał ją na supły tak mocne, że po wynurzeniu musiały zostać przecięte. Usatysfakcjonowany, dwukrotnie pociągnął za linę, dając sygnał tym u góry. Lina podskoczyła, rozluźniła się i napięła, po czym ku niewysłowionej radości

nurka zaczęła się wznosić pośród tumanów piasku. Drewno stękało, woda wirowała w zwolnionym tempie, a gdzieś w dali, tak cichutko, że mężczyzna był pewien, iż tylko je sobie wyobraził, rozbrzmiało łagodne, niepokojące, melancholijne westchnienie kobiety.

Londyn

Styczeń 1799 roku



CZĘŚĆ I

*Umysł jest dla siebie
Siedzibą, może sam w sobie przemienić
Piekło w Niebiosą, a Niebiosą w piekło**

– JOHN MILTON
Raj utracony (1667)

* John Milton, *Raj utracony*, tłum. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2002, s. 17.

ROZDZIAŁ 1

Dora Blake od świtu ślęczała nad biurkiem. Przywykła już do siedzenia na zbyt wysokim stołku, ale nie było jej wygodnie. Od czasu do czasu odkładała szcypce, zdejmowała okulary i uciskała mostek nosa, masowała obolałe mięśnie szyi i rozciągała się, aż w plecach strzykało rozkosznie.

Pokój na poddaszu od północnej strony nie rozpieszczał światłem. Sfrustrowana Dora przeniosła biurko pod małe okienko, ale przy jednej świeczce skomplikowana praca szła mozolnie. Powierciwszy się na twardym siedzeniu, dziewczyna włożyła okulary z powrotem na nos i znów pochyliła się nad biurkiem, udając, że wcale nie marznie, choć mimo noworocznego chłodu okno otwarte było na oścież. Czekala na Hermesa, który lada chwila miał wrócić z nowym skarbem, mającym ukoronować jej najnowsze dzieło. Otworzyła drzwi klatki i rozsypała na dole resztki podkradzionego śniadania, by nagrodzić go za poranne polowanie – oby udane! Przygryzła dolną wargę i przycisnęła kciukiem szcypce.

Wykonanie filigranu w technice *cannetille* było wyzwaniem, ale Dorę zawsze cechował niezachwiany optymizm. Niektórzy nazwaliby go oślim uporem, ona sama była jednak przekonana,

że jej ambicje nie są bezpodstawne. Wiedziała bez cienia wątpliwości, że ma talent i że kiedyś ludzie się na niej poznają, a zaprojektowane przez nią ozdoby będzie nosić całe miasto. A może cała Europa? Kącik ust zadrżał jej lekko, gdy pieczołowicie wciskała na miejsce wyjątkowo maleńki drucik. Zaraz potem potrząsnęła głową, by wykurzyć podniosłe rojenia z przeżartych przez korniki belek u sufitu i skupić się na pracy. Nie mogła dać się rozproszyć na samym finiszu i zaprzepaścić wielogodzinnych wysiłków.

Odcięła z zawieszanej na gwoździu szpulki kolejny fragment drucika.

Piękno *cannetille* polega na tym, że naśladuje on delikatną koronkę. Na wystawie w sklepie jubilerskim Rundella i Bridge'a można było podziwiać kunsztowne komplety biżuterii złożone z naszyjnika, kolczyków, bransoletki, broszy i diademu. Ich wykonanie musiało zająć wiele miesięcy! Dora przez jakiś czas rozważała dorobienie do naszyjnika pary kolczyków według własnego projektu, ale w końcu machnęła na to ręką. Lepiej poświęcić czas na co innego. Ostatecznie naszyjnik miał być jedynie demonstracją jej talentu.

– Gotowe! – wykrzyknęła, zręcznie odcinając nożyczkami nadmiar drucika. Od rana męczyła się nad niewiarygodnie trudną do wykonania zapinką, ale dzieło okazało się warte zerwania się przed świtem, obolałych pleców i ścierpiętych pośladków. Odłożyła nożyczki, chuchnęła na dłonie i pocierała je energicznie. W tym momencie z nieba sfrunął czarno-biały pierzasty stwór i zaskrzeczał porozumiewawczo. Dora usiadła wygodnie i powitała go uśmiechem.

– Dzień dobry, skarbie.

Sroka wleciała przez okienko i wylądowała łagodnie na łóżku. Na szyi miała maleńki skórzany mieszek uszyty przez Dorę. Pochyliła łebek na znak, że nie wraca z niczym.

– No, pokaż, coś przyniósł. – Zamknęła okno i od razu zrobiło się cieplej.

Hermes pisnął i pochylił się jeszcze bardziej, a potem potrząsał łebkiem, by uwolnić poluzowany pasek. W końcu miešek spadł. Dora wyciągnęła rękę i podeksytowana obróciła go do góry dnem, wysypując zawartość na wyświechtaną narzutę.

– *Ach nai* – wyszeptała. – Tak, Hermesie! Tego szukałam!

Trzymała w palcach owalną, płaską bryłkę szkła wielkości małego jajka, lśniąca i bladoniebieska, mleczną niemal na tle szarej sylwetki miasta. W tego rodzaju filigranach najchętniej używano ametystów, których fiolet ostro kontrastował ze złotem, uwypuklając jego żółtą barwę. Ona jednak wołała akwamarynę, przywodzącą na myśl śródziemnomorskie niebo i ciepło jej dzieciństwa. Gładkie szkiełko było wprost idealne. Dora zamknęła je w dłoni i rozkoszowała się łagodnym chłodem. Wyciągnęła rękę do sroki, a ta z błyskiem w oku wskoczyła na jej dłoń.

– Zasłużyłeś na solidne śniadanko, co?

Zaniosła ptaka do klatki. Już po chwili wyjadał okruszki chleba, szorując dziobem po podłodze. Pogłaskała jego jedwabiste pióra, pełna podziwu dla ich połysku.

– Jedz, skarbie – szeptała. – Musisz być zmęczony. Teraz lepiej, prawda?

Zaabsorbowany jedzeniem ptak nie zwracał na nią uwagi. Wróciła do biurka i przyglądała się naszyjnikowi.

Musiała przyznać, że nie jest w pełni zadowolona ze swego dzieła. Na papierze projekt wyglądał idealnie, czego nie można było powiedzieć o wykonaniu. Zamiast subtelnych złotych sprężynek – matowy szary drut powyginany w miniaturowe kółeczka; zamiast lśniących perełek – krzywo wycięte kawałki połamanej porcelany.

Nigdy jednak nie liczyła na to, że uda jej się wiernie odtworzyć rysunek. Nie miała odpowiednich narzędzi, materiałów ani wykształcenia. Ale to był zaledwie początek, dowód na to, że mimo poślednich surowców potrafi tchnąć w swoje dzieło piękno i elegancję. Więc nie, nie była zadowolona, lecz patrzenie na naszyjnik sprawiało jej przyjemność. Miała nadzieję, że kiedy umieści ten kamień pośrodku, całość stanie się...

W dole rozległo się trzaśnięcie i dzwonek.

– Doro!

Ostremu, surowemu, niecierpliwemu głosowi dobiegającemu z położonego o trzy piętra niżej parteru odpowiedział zagniewany skrzekot Hermesa.

– Doro! – huknął znów głos. – Zejdz tu i zajmij się sklepem! Mam ważną sprawę!

Głuchy odgłos zatraskiwanych drzwi. Potem, w oddali, kolejnych. I cisza.

Westchnęła, przykryła naszyjnik kawałkiem płótna, obok położyła okulary. Szklane oczko musiało zaczekać, aż wuj pójdzie spać. Dora z żalem oparła je o świecznik, gdzie pokolysało się trochę i znieruchomiło.



Skład Egzotycznych Antyków Hezekiaha Blake’a stał wciśnięty między kawiarnię a pasmanterię, ale nie umknął niczyim oczom: wyróżniał go wielki, łukowaty wykusz, przykuwający uwagę każdego przechodnia choćby samymi rozmiarami. Większość jednak poprzestawała na zerkaniu na wystawę z odrapaną framugą i oddalała się, stwierdziwszy, że lokal ma do zaoferowania niewiele ponad garderobę z poprzedniego wieku czy pejzaż w stylu Gainsborougha. Świetnie niegdyś prosperujący zakład

dziś wystawiał na sprzedaż jedynie falsyfikaty i zakurzone bibeloty, które nie wzbudzały zainteresowania zwykłych obywateli, nie mówiąc już o koneserach antyków. Dora nie miała pojęcia, po co wuj zawołał ją na dół, skoro do sklepu nie zaglądał nawet pies z kulawą nogą.

W czasach jej ojca interesy szły jak z płatka. Choć była wtedy dzieckiem, dobrze pamiętała ówczesną klientelę Blake'ów. Na Ludgate Street tłumnie przybywali wicehrabiowie pragnący udekorować swoje domy przy Berkeley Square w sposób podpatrzony na wycieczkach po modnych miejscach Europy. Ci, którzy sami prowadzili intratne biznesy, zamawiali u nich ozdoby do swoich salonów. Prywatni kolekcjonerzy sownie opłacali ojca Dory, Elijaha, i jego małżonkę, by wydobywali dla nich artefakty z zagranicznych ruin. A teraz?...

Zamknęła za sobą drzwi oddzielające mieszkalną część kamienicy od sklepu. Dzwonek nad nimi zadzwonił wesoło, ale Dorze nie było do śmiechu. Kiedy nie obserwowała jej czujnie Lottie Norris, o każdym jej ruchu informował Hezekiaha ten przeklęty dzwonek.

Owinęła się ciasno szalem i weszła do sklepu wypełnionego meblami, na których bez ładu i składu poustawiano brzydkie przedmioty, oraz regałami pełnymi książek, wyglądających, jakby miały nie więcej niż dziesięć lat. Na niewoskowanych powierzchniach stojących jeden przy drugim ciężkich kredensów poukładano tanie błyskotki. Mimo bałaganu środkiem sklepu zawsze wiodła szeroka, kręta ścieżka prowadząca do mieszczących się na końcu pomieszczenia dużych drzwi do piwnicy – prywatnego sanktuarium Hezekiaha.

Niegdyś znajdowało się w niej biuro, w którym rodzice Dory kreślili mapy wykopalisk i naprawiali porozbijane znaleziska. Gdy jednak Hezekiah przeniósł się tu z maleńkiego mieszkanka

w Soho, przeprowadził w piwnicy rewolucję, która wymazała wszelki ślad działalności rodziców Dory, pozostawiając jej tylko ulotne wspomnienia. W Składzie Antyków Blake’a nic już nie było takie jak przedtem – interes podupadł, a wraz z nim podupadła jego reputacja.

Dora przewróciła kartkę w rejestrze (ta z poprzedniego dnia zawierała tylko dwa wpisy) i nabazgrała na marginesie dzisiejszą datę.

Owszem, to i owo udawało się sprzedać. W ciągu miesiąca pieniądze spływały ciurkiem jak woda z dziurawego dachu ich kamienicy. Całą tę sprzedaż napędzały jednak kłamstwa, a nie kompetencje. Hezekiah o każdym sprzedawanym przedmiocie potrafił opowiadać niestworzone historie. Drewniany kufer wykonany przed tygodniem w Deptford miał służyć handlarzowi niewolników do przeschmuglowania z Ameryki dwójga dzieci w 1504 roku; dostarczona przez kowala z Cheapside para ozdobnych świeczników należała rzekomo do Thomasa Culpepera... Swego czasu wuj sprzedał burdelmamie zieloną sofę obitą pluszem, utrzymując, że była ona własnością francuskiego hrabiego, cudownie uratowaną, gdy jego najokazalsza posiadłość spłonęła z czasie wojny trzydziestoletniej. W rzeczywistości hrabia był zrozpaczoną wdową, która sprzedała Hezekiahowi sofę za trzy gwinee, by spłacić część długów męża. Górne piętro domu schadzek dla mężczyzn zdobiły zaś japońskie parawany z okresu Heian, pomalowane przez samego wuja w piwnicy pod sklepem. Gdyby klienci zadali sobie trud zbadania autentyczności tych przedmiotów, Hezekiah dawno już klęczałby na zimnym betonie w sądzie Old Bailey. Ci, którzy u niego kupowali, zdecydowanie jednak nie należeli do osób zdolnych odróżnić prawdziwą sztukę i prawdziwe antyki od marnych podróbek.

W miarę upływu lat Dora odkryła, że fałszerstwa nie są w świecie antykwariuszy niczym szczególnym. Majętni klienci chętnie zamawiają kopie przedmiotów, które widzieli w British Museum lub za granicą. Ale Hezekiah... on kłamał na temat swoich towarów, a Dora dobrze wiedziała, czym to grozi – wysoką grzywną, przywiązaniem do pręgierza, wielomiesięcznym więzieniem.

Na samą myśl o tym ścisnęło ją w żołądku. Oczywiście mogłaby donieść na wuja, lecz była od niego zależna finansowo i póki nie utorowała sobie własnej drogi w świecie, musiała tu tkwić i patrzeć, jak rodzinny interes z roku na rok upada coraz niżej, a nazwisko Blake odchodzi w niełaskę i zapomnienie.

Co nie znaczy, że sprzedawali wyłącznie fałszyfikaty. Stały przyręczki niewielkiej gotówki zapewniały zgromadzone przez Hezekiaha na przestrzeni lat bibeloty – szklane paciorki, gliniane fajki, maleńkie ćmy zawieszone w dmuchanym szkłe, ołowiane żołnierzyki, porcelanowe filiżanki, malowane figurki – z których Dora od czasu do czasu co nieco podkradała. Przejrzała rejestr sklepowy. Tak, to i owo udawało im się sprzedać, ale zarobione w ten sposób pieniądze wystarczały jedynie na pensję dla Lottie i żywność dla nich wszystkich. Skąd wuj bierze fundusze na swoje małe kaprysy, nie wiedziała i wołała nie wiedzieć. Wystarczało, że zatrul jej życie po śmierci ojca. Że kamienica popadała w ruinę, a grosza na naprawy brakowało. Gdyby to ona tu rządziła... Pokręciła melancholijnie głową, przesunęła palcem po powierzchni blatu i skrzywiła się na widok brudu. Czy Lottie nigdy tu nie sprzątała?

Jakby na zawołanie przez uchylone drzwi zajrzała krępa kobieta o zwiotczających ustach, paciorkowatych oczkach i włosach koloru słomy.

– O, wstała panienka. Szykować śniadanie czy już panienka zjadła?

Dora spojrzała na nią pogardliwie. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że Lottie Norris idealnie nadaje się na gospodynię, ale w rzeczywistości była ona równie dobra w utrzymywaniu domu jak wuj Hezekiah w sporcie – leniwa, przemądrzała, toksyczna i uciążliwa jak smoła przyklejona do skrzydła mewy, a na domiar złego przebiegła.

– Nie jestem głodna – skłamała dziewczyna.

Oczywiście, że była głodna – od zjedzenia chleba minęły ponad trzy godziny, ale wiedziała, że jeśli poprosi o więcej, Lottie usłuźnie doniesie Hezekiahowi, że jego bratanica wykraada jedzenie ze spiżarni, a ona nie miała ochoty wysłuchiwać obłudnych kazań.

Gospodyni weszła do sklepu i uniosła brwi.

– Niegłodna? Na kolację mało co panienka zjadła!

Zamiast odpowiedzieć, Dora uniosła brudny palec.

– Czy nie powinnaś tu sprzątać?

Lottie zmarszczyła brwi.

– Tutaj?

– A niby gdzie?

Gospodyni prychnęła i powachlowała się pulchną ręką.

– Przeca to skład antyków! Muszą być zakurzone. W tym ich urok.

Dora odwróciła się i wydeła wargi. Lottie zawsze traktowała ją w ten sposób: jakby to ona była tu służącą, a nie córką dwojga renomowanych antykwariuszy i bratanicą obecnego właściciela. Zignorowała gospodynię, wygładziła rejestr i zaczęła ostrzyć ołówek na igiełkę, przygryzając wargi: nie było warto trwonić energii na besztanie Lottie Norris, które zresztą i tak by nic nie dało.

- Na pewno panienka nic nie chce?
- Na pewno – odparła krótko.
- Wedle życzenia.

Nim gospodyni zamknęła za sobą drzwi, Dora opuściła ołówek.

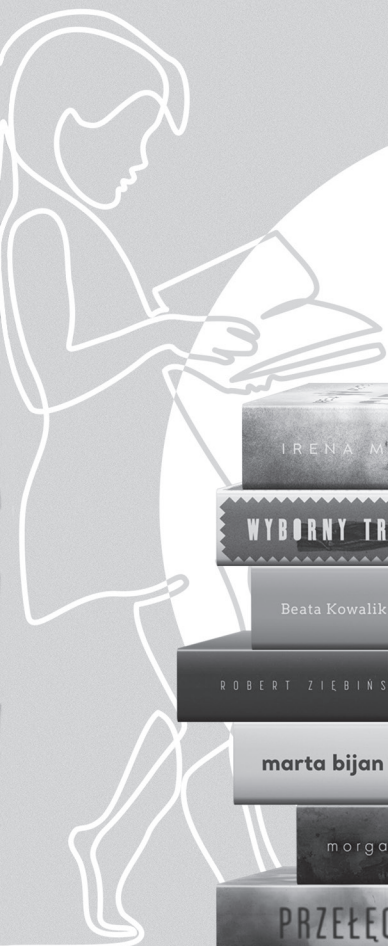
– Lottie? – Drzwi zastygły w bezruchu. – Co takiego ważnego wuj miał do załatwienia na nabrzeżu, że kazał mi zająć się sklepem?

Lottie zawahała się i zmarszczyła perkaty nos.

– A skąd ja mam to wiedzieć? – mruknęła i zatrzasnęła za sobą drzwi z przeklętym „dzyń” piekielnego dzwonka, pozostawiając Dorę z neodpartym przeświadczeniem, że wie to doskonale.



HISTORIE WART OPOWIEDZENIA



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



www.mova.com.pl



[wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[wydawnictwomova](https://www.instagram.com/wydawnictwomova)



Zajrzyj i bądź na bieżąco!